№ 2 WARSZAWA, DNIA 11 STYCZNIA 1913 ROKU ROK III



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

POSELSTWO POLSKIE U KRZYŻAKÓW.

Z POEMATU WŁADYSŁAWA SYROKOMLI p. t. «MARGIER».

Mistrz pisanie królewskie przeczytał i chowa,
A poseł w te ku niemu odzywa się słowa:
— Dostojny Wielki Mistrzu i wszyscy rycerze!
Pan i król mój przeze mnie pozdrawia was szczerze,
I prosi Pana Boga chrześcijańską modłą
By wam w łasce Jego fortunnie się wiodło,
Przyczem wam przypomina o świeżym traktacie,
Iż Dobrzyń i Kujawy nieprawnie trzymacie,
Że za starego króla zbici pod Płowcami,
Gdy warunki przymierza podaliście sami,
Gdy zakon pokonany miłosierdzia żebrze,
Mieliście tysiąc grzywien opłacić we srebrze.
Gdzie skutki tych przyrzeczeń, opisów, umowy?
Gdzie wiara, utwierdzona rycerskiemi słowy?
Gdzie kapłańska uległość wyrokom kościoła?
Kiedy spełnicie rozkaz, co go nuncjusz woła—
I co papież potwierdza w apostolskim liście?
Król i pan mój rozkazał spytać uroczyście.
Oto wasi żołdacy, jakby horda dziczy,
Zakłócają spokojność naszych pograniczy;
Po miastach i po wioskach trwoga się rozniosła,
Rolnik odbieża pługa, mieszczanin rzemiosła,
Pozabierane trzody, spustoszone zboże,
Czyż król na tyle klęski nieczułym być może?

Niedarmo barki jego purpura osłania,
Niedarmo jego czoło, gwoli królowania,
Namaścił arcybiskup oliwą chryzmatu,

I przypasał do boku miecz wiadomy światu,
Miecz Chrobrych, Krzywoustych, niedarmo zadzwoni,
Świeżo jeszcze w Łokietka zahartowan dłoni.

I odprawę posłowi miłościwą daje,
I śle swoich legatów na północne kraje.
Posłanniki papieża, jak sędziowie czuli,
Piotr, prałat aniceński i Gerard z Tituli,
Umocnieni powagą i zupełną władzą.



Krzyżacy! ostrze jego oświetlone chwałą,
Od płowieckiej potrzeby jeszcze nie stępiało!
Ale pan mój, szanując powołanie nasze,
Nie pierwej wdzieje pancerz i miecz swój przypasze,
Chyba, że wasza pycha otwarta widocznie,
Wyroki Apostolstwa lekceważyć pocznie.
Oto świeżo obleczon w poselstwa zaszczyty,
Jan ze Słupca, krakowski biskup znakomity,
Jeździł w imieniu króla w apostolskie progi,
I przekładał uciski, morderstwa, pożogi,
Wszystko, czem-eście Polskę krzywdzili zdradziecko,
Odkrył Głowie Kościoła, jako ojcu dziecko.
A Ojciec chrześcijaństwa usłuchał wołania,
I ku naszym uciskom swoje ucho skłania,

Żałoby wysłuchają i wyrok wydadzą,
Dopomną się krzywd Polski na waszym zakonie,
I powrócą zabory uciśnionej stronie.
Już tedy ci legaci do Polski przybyli,
I z ramienia papieża wydają w tej chwili
Rozkaz, byście stanęli dla słuchania sprawy,
Do stolicy Mazowsza, do miasta Warszawy,
Gdzie na dniu pierwszym sierpnia zasiądą w urzędzie,
I sąd nuncjatury przywołanym będzie.
A Kazimierz, król polski, z uprzejmemi słowy,
Przysyła wam zapozew na termin sądowy,
Abyś sam, Wielki Mistrzu, lub przez towarzysze,

Stanął na czas i miejsce, jak w tych
liściech pisze,
Tam niechaj nas rozsądza sprawiedliwość
Boża:
A mistrz w prawie uczony, Bertold
z Raciborza,
Wyłuszczy naszą sprawę dokładnie
i szczerze,
I obrony wysłucha i wyrok odbierze:
Bo przyjmujemy chętnie z uchyleniem czoła,
Wszelki wyrok od Głowy widomej Kościoła!

(D. n.).

MARYLA ŻARSKA.

JAK TO U NAS NA WSI.

OBRAZEK SCENICZNY W 1-ej ODSŁONIE.

OSOBY:

KAZIA, BOGDAN, MILA, GUCIO — rodzeństwo
JUREK, przyjaciel Bohdana
SABINA, pokojówka
JAGUSIA, HANKA — dziewczęta wiejskie
FRANEK, WALUŚ, JAŚ — chłopcy ze wsi.

Rzecz dzieje się na wsi.

(Scena przedstawia pokój Kazi, przy oknie biureczko, przed biurkiem fotel, z boku otomana. Mila pisze przy biurku, Kazia oparta o krzesło wygląda oknem).

SCENA I.

Kazia i Mila.

Kazia. Śnieg pada i pada bez końca. Już zasypał cały park, niedługo i nas zasypie... (załamuje ręce). O Boże, co ja tu pocznę bez ciebie w tem strasznem pustkowiu!

Mila (wstaje i obejmuje ją ramieniem). Moja ty biedaczko droga, nie rozpaczaj! To się wszystko ułoży. Poznacie się z sąsiadami i zima jakoś zejdzie, a w lecie, przyrzekam ci solennie, znów się tu zjawię. (Siadają na otomanie).

Kazia. Jaka ty jesteś szczęśliwa! Wrócisz do Krakowa i tam oddasz się nauce, będziesz miała różne rozrywki, jednem słowem to wszystko, do czego jesteś przy-

zwyczajona — ale mnie... pomyśl, po życiu, jakie pędziłam w Wiedniu, po wycieczkach za granicą, osiąść raptem na tej głuchej wsi... Nie, to zwarjować można!

Mila. Ale skoro lekarze twierdzą, że paroletni pobyt na wsi powróci siły twej matce...

Kazia. To też, Milo, oddaję się rozpaczy dopóki jeszcze nie przyjechała; później, gdy już tu będzie ta moja najdroższa mateczka, wszystkie głośne żale pójdą w kąt... tylko, gdy będę sama w moim pokoiku, wtulę się w róg otomany i będę szlochać, szlochać bez końca! (zasłania twarz dłońmi).

Mila. Ależ Kaziuchno, będziesz miała przecież towarzystwo p. Reginy. To taka mądra osoba...

Kazia (podnosi głowę). Mądra... masz rację. To też wierzę, że nauki moje nic a nic w tej pustce nie ucierpią i że razem z tobą zdam na rok przyszły maturę. Ale jej mądrość wystarcza mi tylko podczas godzin lekcji. Pozatem jest oschła, nie rozumie moich zapałów. A ja jestem tak pełna porywów. Pragnę żyć, a nie wegetować! (chodzi po pokoju). Co ja] tu robić będę w te długie wieczory zimowe? Jakże wdzięczną ci jestem, że wraz z Guciem zechcieliście dzielić z nami te smutne święta.

Mila. Kaziu moja! Przecież o mojem i Gucia przywiązaniu chyba nie wątpisz. Żałuję tylko, że i ja, niestety, tak krótko bywałam na wsi i nie mam pojęcia, jak tu żyć można?

Kazia. Słyszysz, jak wicher wyje? i ja tak bez końca mam słuchać tego jęku!

SCENA II.

Ciż, Bogdan i Gucio.

Bogdan. Więc jak powiedziałem, tak się też stało. Mieliśmy wyjechać o piątej, a przez guzdralstwo tego elegancika wyruszamy dziesięć do szóstej. A kolega Jurek tak prosił, abyśmy byli punktualni!

Gucio (staje przed lustrem i poprawia sobie krawat). Paradny jesteś, mój drogi! Mam jechać pierwszy raz do nieznanego domu i nie być tiré à quatre épingles (wydyma usta). Choć tu zapewne nie bardzo warto dbać o tualetę, bo przecież w tej pustce sami dzicy ludzie żyć muszą. Jak sądzisz, Kaziu?

Kazia. Myślę to samo, co i ty. Pustka, nuda, brak kultury! Gdy spojrzałam dziś na te obrzydliwe figury w kościele, miałam ochotę w głos się rozpłakać.

Gucio (wykrzywia się). A jaki zapach wydają ci ludzie! Fi!

Bogdan. Ej, nie przesadzaj i nie dodawaj żalu biednej Kazi. Bywałem nieraz na wsi i wiem, że życie tu ma swoje dobre strony. Wiesz, gdyby to ode mnie zależało, rzuciłbym ten cały Wiedeń, ale mamcia twierdzi, że popsuję sobie karjerę. Pamiętajcie, że mam blizko siedmnaście lat... siedemnaście! Powinniście mnie tu wszyscy w rękę całować. Guciu, zaczynaj! (podsuwa mu rękę pod nos).

Gucio. A dajże mi pokój! także pomysł! (ogląda mu rękę). Ale jak ty źle utrzymujesz paznokcie... Rosną, jak Bóg dał. Ani to wypolerowane, ani zaokrąglone.

Bohdan. Cicho bądź, Telimeno. (Zwraca się do panien) Wiecie, że jego koledzy nazywają Telimeną, bo wozi ze sobą całe miljony past, eliksirów i kremów. Elegancik, panieneczka!...

Gucio. O, bo ci zazdrość, że nie wyglądasz tak wytwornie, jak ja. (Wykręca się na pięcie) Cóż moje panie? czyż nie Wiener Chic? co?

Mila. Nie błaznuj, Guciu! Myślałby kto, że tylko stroje masz w głowie. A przecież tak źle nie jest.

Bogdan. Oho! Mila urażona, że przymawiam jej braciszkowi; ale my się sprzeczamy tylko z miłości.

Kazia. I z tej miłości nie wyruszycie

na wizytę. A przecież trzeba, abyśmy porobili trochę znajomości. Mamusia rada będzie, że odwiedzicie Zalesie. (Staje przy oknie) Ale wieczór taki ciemny, jak wy pojedziecie?

Gucio. Kaziu, jestem kawalerem, sans peur ni reproche. Jadę, urągając ciemnościom, wichrom, wilkom...

Bogdan. I innym drapieżnym zwierzętom. Chodź ty, eleganciku, mamusin synku, owinę cię w trzydzieści pledów, piętnaście pierzyn i wpakuję w sanki do Zalesia. Choć ty byś wolał sleepingiem do Wiednia co? (Do panienek) Dowidzenia, ozdoby tutejszej pustyni. Płaczcie i lamentujcie za nami!

Gucio. Postaramy się wrócić jaknajprędzej. (Do Bogdana, który go głaszcze po głowie) Dajże pokój, zwichrzysz mi rozdziałek!

Bogdan. Nad którym namęczyłeś się pół godziny. Jeszcze raz żegnajcie, zaklęte księżniczki. Śnijcie słodko w zaśnieżonem zamczysku! (Kłaniają się i wychodzą).

SCENA III.

Kazia i Mila.

(Kazia siedzi na otomanie, Mila stoi przy oknie. Zdaleka słychać dzwonek oddalających się sanek).

Mila. Już pojechali... Jeszcze zdaleka widać sanki na białej drodze. Już znikły! A co my teraz będziemy robić, Kaziuchno?

Kazia. Czy ja wiem? Tak smutno, a to wigilja Nowego Roku. Moja stara niańka zawsze mówiła, że o ile się wesoło spędzi wieczór Sylwestrowski, to i cały rok następny będzie również wesoły. Ładna perspektywa dla mnie! Tylko smutek mam dziś w sercu. Zdaje mi się, że idę ciemną drogą, gwiazd koło mnie niema...

Mila (nasłuchuje). Słyszę jakieś tupotanie na ganku. Co to być może?

Kazia (zbliża się do okna). A prawda. Co to za jasne światło?

SCENA IV.

Ciż, Sabina.

Sabina. Proszę panienek, przyszło ze wsi kilku chłopców. Proszą, żeby ich wpuścić.

Kazia. Czego chcą?

Sabina. Chcą panienkom złożyć życzenia noworoczne.

Mila. Pozwól im wejść, Kaziu droga; rozweselą nas może.

Kazia. Dobrze, niech ich Sabinka poprosi.

Sabina. Słucham panienki (wychodzi).

SCENA V.

Ciż, Franek, Walek, Jaś.

(Do pokoju wchodzi trzech wiejskich chłopców, jeden z nich trzyma w ręku dużą oświetloną gwiazdę).

Chór chłopców (na nutę kolendy)

Zaświeciła jasna gwiazda na niebie
Przybiegamy Jezusieńku do ciebie
Znosimy ci męki,
Żale, łzy, udręki —
W ciężki czas,
Ratuj nas!

Zostaw ty nam jasną gwiazdę nad siołem,
Niech nas wszystkich cieszy we wsi pospołem,
Za twoją przyczyną
Przesłodka dziecino,
Do tych strzech
Wróci śmiech!

Kazia. Ślicznie, chłopcy! kto was tego nauczył?

Franek. A dyć Antek ze młyna. On cięgiem albo na skrzypcach gra, albo takie różności układa.

Waluś. A mało to się on we dworze nasiedział? (drapie się w głowę) Będzie temu trzy roki, to my wszyscy mieli taką śmiałość, że co trzy pacierze przybiegaliśmy do naszej panienki.

Kazia. Do jakiej panienki?

Jaś. A dyć do naszej, co tu siedziała we dworze. Tylko że pojechała i już my jej nie widzieli.

Franek. A dobra była, jak ten miód!

Waluś. A jak słodko gadała!

Jaś. A jakie nam śliczne opowiadała bajeczki!

Kazia. A co wy teraz robicie?

Franek. W lecie chodzę za gęsiami, w zimię—dzieciaka niańczę, bo ciągiem krzyczy.

Mila. A ty?

Waluś. Póki ciepło, to krowy gnam, a w mrozy to z babkom na przypiecku siedzę, bo w chałupie zimno.

Kazia. A ty mały?

Jaś. Ja latoś pasałem świnie. Tero wciąz z chałupy zmykom, bo wujna na mnie pomstujom.

Kazia. To wy się wcale nie uczycie?

Franek. A kajże, wielmożna panienko? Była tu dawniej we wsi ochrona, ale jak nasza panienka wyjechała, to i ochrony niema i nikt o nas nie zapyta. O! dawniej inaksze były czasy!

Mila. I on już ma swoje wspomnienia! Biedny mały! A bardzo kochaliście tę waszą panienkę?

Franek. Jak matkę rodzoną!

Waluś. Jak leliję!

Jaś. Jak świętą z obrazka!

Kazia. To wy potraficie tak bardzo kochać? (Bierze Jasia za rękę) Ale jakie ty masz zmarznięte rączyny! (woła przez drzwi) Sabinko!

SCENA VI.

Ciż i Sabina.

Sabina. Słucham panienki.

Kazia. Moja Sabinko, proszę wziąć chłopców do garderoby. Niech się ogrzeją. Proszę im dać ciepłego mleka, ciasta, orzechów i pierników. Tylko dużo!

Sabina. Dobrze, proszę panienki, ale tu jeszcze czekają dwie dziewczyny.

Kazia. Niech wejdą. A wy, chłopcy, idźcie za Sabinką.

Waluś. Jaka panienka dobra!

Jaś i **Franek**. Dziękujemy wielmożnej panience!

(Wychodzą z Sabiną).

SCENA VII.

Kazia, Mila, Jagusia, Hanka.

(Do pokoju wchodzą dwie z wiejska ubrane dziewczyny).

Hanka. Niech będzie pochwalony!

Mila. Na wieki wieków.

Kazia. A wy skąd jesteście, dziewczęta? co nam powiecie?

Jagusia (schyla się do jej kolan). Babka nam zachorowali. Taka słaba! Dopraszamy się od wielmożnej panienki jakiego lekarstwa.

Kazia. Lekarstwa? Ja lekarstw nie mam.. Zresztą, nie znam się na tem wcale. Może ty, Milo?

Mila. Ja też, na nieszczęście, nie wiem, co poradzić.

Hanka. A my myśleli, że panienka taka we wszystkiem uczona, jak ta nasza; o, ona by nam poradziła! Wiedziała, co choremu dać. I na ulach się znała, i na kwiatkach...

D. c. n.

POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował **J. Szczawiński.**

Ciąg dalszy.

— Ma pan rację, panie Kruze — odparł Chmurzyński. — Trzeba będzie zmienić plan. Dziś jeszcze odchodzi drugi okręt do Veracruz „Loira". Jest to bardzo szybki parowiec, który drogę tę odbywa w ciągu 17 dni, a więc przybędzie najmniej o 5 dni wcześniej niż „Trafalgar". Zdaje się, że najlepiej byłoby pojechać tym okrętem.

— Niech pan decyduje — odpowiedział szef.—Za wszelką cenę musimy odzyskać model. Pieniądze na podróż wypłaci panu pan Kruze. Musi pan jednak śpieszyć bardzo, gdyż niewiele czasu pozostało do odejścia pociągu.

Trzej mężczyźni zamienili jeszcze kilka zdań, wreszcie Chmurzyński serdecznym uściskiem dłoni pożegnał szefa i prokurenta, i udał się pośpiesznie do domu po rzeczy. Napisał kilka serdecznych słów do matki, zamieszkałej w Księstwie Poznańskiem (ojciec jego od kilku lat już nie żył), a o 10-ej godz. wieczorem był już u przystani.

Zaledwie zdążył wejść na pokład, zabrzmiał pożegnalny sygnał „Loiry", która w pół godziny potem wolno popłynęła brzegiem Elby.

— Kiedy tu znów wrócę i z jakim rezultatem?—myślał młody inżynier.

Pomimo przejmującego zimna, długo jeszcze stał na pokładzie, przyglądając się blednącym światłom oddalającego się miasta. Wreszcie zmęczony wrażeniami, udał się do swej kabiny na spoczynek.

ROZDZIAŁ II.

Pierwsza tragiczna przeszkoda.

Zaledwie upłynęło 13 dni, a „Loira" w szybkim biegu przerzynała ciemnoniebieską falę oceanu Atlantyckiego w pobliżu wysp Bahama.

Chmurzyńskiemu wydało się to wszystko snem. W lekkim kostjumie, wygodnie siedział w fotelu, puszczając kłęby dymu z krótkiej swej fajki w gorące, przesycone wilgocią powietrze. Daleko za nim zostało smutne, jesienne niebo północnego morza. Już od zatoki Biskajskiej niebo zaczęło się wyjaśniać, a w miarę zbliżania się do północnego pasu, pogoda stawała się coraz piękniejszą.

Prześliczna podróż, jak balsam kojąco działala na wyczerpane nerwy; przytem niezwykle miły stosunek łączył nielicznych pasażerów z kapitanem i oficerami okrętu.

Jan nie próżnował; kilka godzin dziennie poświęcał studjom nad gramatyką hiszpańską, przyczem oficer okrętu Mr. Monsard, władający doskonale językiem hiszpańskim, ofiarował mu swą pomoc.

— Panie Chmurzyński, widać ląd!—zawołał z mostu uprzejmy Monsard.

Chmurzyński pobiegł na most. Istotnie, na srebrzystym horyzoncie zarysował się ciemny pas – to jedna z wysp archipelagu Bahama.

– Czy pan wie, co to jest? — spytał oficer.

— Zdaje się że wiem—odparł Jan.—San Salvador, czyli wyspy Zbawienia, miejsce wylądowania Kolumba, nieprawdaż?

— Tak jest — potwierdził oficer, dodając z uśmiechem:

— Wy, Polacy, jesteście dobrymi gieografami. Napewno żaden z obecnych tutaj moich współziomków nie wie o tem, gdzie obecnie jesteśmy.

Szczególnego jakiegoś uczucia doznawał Jan, patrząc na odległy ląd. Więc to tam po raz pierwszy Krzysztof Kolumb stanął na lądzie amerykańskim, mniemając, że odnalazł Indje! Właśnie ta mała, od świata odcięta wysepka była początkiem odkrycia nowego świata!

— Prawdopodobnie zacznie się teraz dla pana ciężka służba? — zagadnął.

— Istotnie — rzekł Monsard — skończył się idylliczny spokój. Nocą popłyniemy przez cieśninę Crookedor w trudną do przebycia ławicę w okolicy Bahama. To, panie, niebezpieczna droga, nawet dla kapitanów, którzy nieraz odbyli już tę drogę, trudny do zgryzienia orzech. Formalnie roi się tam od koralowych raf i skał. Proszę sobie wyobrazić, iż archipelag Bahama liczy wprawdzie tylko 29 wysp wielkich, z tych 19 zamieszkałych, lecz aż 661 małych wysepek, a 2400 raf, tak przynajmniej wskazują ostatnie obliczenia. Niezliczone rafy leżą często tuż pod powierzchnią morza, trudno bardzo je dostrzedz, lub spostrzega się już zapóźno.

— Niech się pan jednak nie obawia — dodał z uśmiechem—„Loira”, jak pan widzi, to mocny okręt, no i my tu na moście też coś potrafimy!

Drogę pomiędzy wyspami Bahama odbyto w nocy następnego dnia przy dość pomyślnej pogodzie z zachowaniem wszelkich ostrożności. Niestety, w miarę zbliżania się ku burzliwej, kapryśnej zatoce Meksykańskiej, pogoda się pogarszała. Wskutek wilgoci, mgła stawała się coraz gęstszą, tak, że kapitan zmuszony był zwolnić znacznie szybkość, a nawet cofnąć się nieco na północ, aby ominąć niebezpieczną ławicę Campecka, tracąc przez to dwa dni czasu.

Wiadomość ta zaniepokoiła Chmurzyńskiego. Wprawdzie wolno płynący „Trafalgar”, na którym znajdował się Gonzales, przybędzie na miejsce dopiero za pięć dni, samo jednak przypuszczenie, że mógłby go wyprzedzić, napełniała młodego inżyniera przerażeniem. Niepokój wzrastał, gdy pogoda z każdą chwilą pogarszała się, oficerowie i marynarze pracowali bez przerwy, zapominając nawet o posiłku.

Zdawało się, że zatoka Meksykańska sprzysięgła się, aby na swe wody nie wpuścić okrętu. Wicher zamienił się wkrótce w huragan, a parowiec pomimo swych 4000 ton, jak bezbronna piłka, słaniał się po spiętrzonych falach; rozkiełznany żywioł z przeraźliwym rykiem bił w tylne opancerzenia okrętu, aż je porwał w kawałki, wreszcie niszcząca fala wtargnęła na pokład, zabierając wszystko, czego nie zdołano silnie przymocować.

Podróżni, nawpół żywi skutkiem choroby morskiej i silnych wstrząśnień, leżeli w salonie. Chmurzyński, dzięki silnemu organizmowi i woli, chorobie tej nie uległ i nawet dodawał otuchy swym nieszczęśliwym towarzyszom.

— Co słychać, panie Monsard?—spytał przechodzącego oficera.

— Niedobrze — odpowiedział przyciszonym głosem zagadniony. — Położenie jest krytyczne, znajdujemy się w pobliżu raf koralowych. Jesteśmy odrzuceni daleko na północ od Key-West; muszę się panu przyznać, że wolałbym obecnie siedzieć w kawiarni na paryskim bulwarze przy filiżance czekolady!

rafie koralowej, ostra jej krawędź przedziurawiła dno okrętu, a woda olbrzymiemi strumieniami przedostawała się do wnętrza. Po krótkiem badaniu, kapitan stwierdził, że okręt może utrzymać się na powierzchni najwyżej pół godziny.

— Szykować łodzie! Wszyscy podróżni na szalupy!—rozkazywał z mostu.

Nieszczęsne ofiary! Jedni płacząc i skarżąc się, inni znów z cichem poddaniem



Wprawdzie pod wieczór rozszalała burza uspokoiła się i termometr zaczął iść w górę, stokroć gorsze jednak niebezpieczeństwo groziło z powodu gęstej mgły; droga ta nawet przy jasnym dniu wymagała nadzwyczajnej uwagi.

Na prośby kapitana, który mimo groźnego położenia zachował zimną krew, podróżni wrócili do kabin. Zaledwie zdążyli ułożyć się do snu, nagle silnie pchnięty okręt zadrżał, w jednej chwili ukazały się na powierzchni morza szybko bijące śmigi śrubowca, co dowodziło, że okręt znacznie pochylił się naprzód.

Podróżni w panicznym strachu, pomimo przechylenia się okrętu, wybiegli na pokład. Dowiedziawszy się o katastrofie, stracili resztę nadziei. Okręt osiadł na

skupili się w liczbie 30 osób wraz z dziećmi i wsiadali do wskazanych im przez oficerów łodzi. Chmurzyński znajdował się w łodzi, kierowanej przez Monsarda. Przekonany był, że o ratunku mowy być nie może, ponieważ przechylenie się okrętu uniemożliwiało prawidłowe spuszczanie łodzi ratunkowych, a nadzieja odnalezienia brzegu wobec wzburzonego morza, również była bardzo słaba.

Obawy inżyniera sprawdziły się; zaledwie spuszczono pierwszą łódź z 12 pasażerami i trzema marynarzami, nagle porwana przez bałwan i rzucona o rafę, z głuchym trzaskiem się rozbiła. Taki sam los spotkał dwie następne; zniknęły bez śladu w odmęcie wraz z podróżnymi. Wreszcie spuszczono czwartą łódź, w któ-

rej znajdował się Chmurzyński i Monsard. Pozornie szczęśliwszą była od swych poprzedniczek, morze jak gdyby się uspokoiło, a łódź zdołała na kilka metrów oddalić się od kadłuba okrętu. Lecz po kilku minutach przyszła znów olbrzymia fala i w mgnieniu oka pochłonęła słaby stateczek.

Co się później działo, Jan nie pamiętał; kiedy z omdlenia wrócił do świadomości, leżał na skale, wyrzucony przez falę. W słabym świetle księżyca spostrzegł, jak rozcięty na pół ostrzem skały okręt, pogrążał się w niezgłębioną otchłań. Tylko niewielki stos szczątków pozostał na skale, pozatem, zdawało się, żadna żyjąca istota nie była świadkiem strasznej katastrofy.

Kiedy zbolały, potłuczony ostrożnie obrócił się na bok, spostrzegł opodal leżącego człowieka. Gdy z trudem przyczołgał się doń, poznał oficera okrętu Monsarda. Na razie zdawało mu się, że nie żyje, nagle radośnie zdziwiony, spostrzegł, jak otworzył oczy i poruszył wargami. Po jakimś czasie wypoczęli o tyle, że mogli wstać i zbadać okolicę.

Położenie wydało im się tak straszne i beznadziejne, że żałowali prawie, iż nie potonęli wraz z towarzyszami. Widocznie przeznaczeniem ich było na tej małej skale oczekiwać głodowej śmierci, ponieważ nie widzieli możności ratowania się.

D. c. n.

Bohdan Dyakowski.

O DAWNYCH I NOWYCH HARCERZACH.

DOKOŃCZENIE.

Zawiązujące się następnie w Galicji oddziały skautowskie przyjęły sobie za cel dążenie do osiągnięcia męstwa, hartu, dzielności oraz innych cnót naszych dawnych rycerzy, w szczególności; zaś ideałem ich stał się szlachetny, odważny i prawdomówny Zawisza Czarny, o którym śpiewa Niemcewicz:

Przysłowiem było bojów towarzyszy:
„Polegaj na nim jakby na Zawiszy".

A że do harców w dawnych bojach stawał zawsze wybór, kwiat rycerstwa, więc też i osiągnięcie takiej doskonałości, jaką odznaczał się harcerz wśród innych rycerzy, stało się dążeniem naszych skautów. A stąd już krok był tylko do na-

zwy: chcąc usunąć angielską, obcą nam i zastąpić ją, jeśli nie rdzennie polską, to w każdym razie mającą już dawno prawo obywatelstwa w naszym języku, przezwano naszych skautów harcerzami, a drużyny ich harcerskiemi, wyrażając tem, że ideał harcerza, to jest doskonałego i szlachetnego w całem znaczeniu tego wyrazu rycerza, powinien przyświecać zawsze naszym skautom, powinien być ich celem i dążeniem.

Drużyny harcerskie w Galicji zaczęto tworzyć bardzo niedawno, niespełna trzy lata temu, a jednak rozwinęły się one znakomicie i obejmują przeszło 3000 młodzieży; należą do nich nietylko uczniowie szkół średnich, ale i młodzież rzemieślnicza, nawet i dziewczęta. Dziewczęta zakładają osobne oddziały i na nieco innych zasadach, ze względu na odmienne warunki organizmu dziewczęcego, ogólne jednak podstawy i dążenia są te same, boć przecie i dziewczęta powinny tak samo dążyć do tego, aby wyrość na zdrowe, dzielne, zaradne i szlachetne kobiety, u których byłby „zdrowy duch w zdrowem ciele".

Ostatnie sprawozdanie wykazuje, że przed ubiegłemi wakacjami (w r. 1911) było: we Lwowie drużyn harcerskich 12 złożonych z 582 chłopców, w Krakowie 3 z przeszło 100 chłopcami, na prowincji ogółem 2136 skautów; oprócz tego należało do organizacji dziewcząt 444; ogółem więc liczba członków drużyn harcerskich przekroczyła znacznie liczbę 3000.

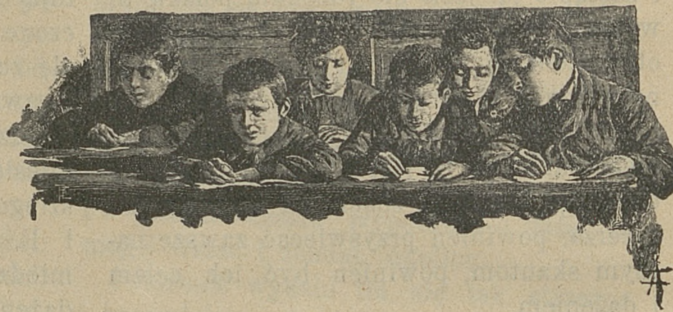
Jednocześnie ukazują się książki, traktujące o skautingu i to nie tylko tłomaczone z angielskiego, jak w początkach, ale zupełnie oryginalne, pisane umyślnie z uwzględnieniem charakteru i potrzeb młodzieży polskiej. Między innemi parę miesięcy temu (przed końcem roku zeszłego) wyszła książka M. Schreibera i E. Piaseckiego pod tytułem: „Harce młodzieży polskiej", obejmująca całość dążeń, celów i obowiązków harcerza polskiego: od ćwiczeń fizycznych i hartowania ciała do obowiązków duchowych — kształcenia charakteru, poznawania kraju rodzinnego, przyczyniania się w miarę możności do jego dobra i dążenia do zostania w przyszłości pożytecznym jego synem.

Pisma dla młodzieży wprowadzają specjalne działy dla zaznajamiania czytelników z tym ruchem i zachęcaniu do niego, a obok tego powstają osobne pisma, poświęcone harcerstwu. Mamy ich obecnie dwa z których jedno we Lwowie „Skaut" istnieje już drugi rok (od października 1910 r.); i zdołało zaskarbić sobie sympatję i zaufanie swoich czytelników.

Słowem, ruch harcerski wszedł już u nas na dobre tory, znajduje się w pełni rozwoju i nadal rozwijać się będzie jeszcze pomyślniej. Można też spodziewać się, że przysporzy nam całe zastępy obywateli kraju, zdrowych ciałem i dzielnych duchem.

Marja Buyno.

KOLEDZY.



○ ○ ○ ○

— Do widzenia, Matuś! — głos chłopca brzmiał radośnie, bo chociaż Michaś kochał namiętnie swoją matkę, dziś wyjątkowo rozstawał się z nią bez żalu, wesoło. Więcej nawet: Michaś czekał niecierpliwie chwili, gdy pożegna swoją ukochaną mateńkę.

I oto biegł teraz, a tak mu lekko, jakby skrzydła miał u ramion. Śmiałby się głośno i skakał, jak dziecko, lecz musiał się hamować, musiał pamiętać, co przystoi czwartoklasiście.

Pierwszy raz idzie do szkoły!

Radość jego zrozumieć mógł ten tylko, kto, jak on, przez długie lata mieszkał zdala od kraju, na obczyźnie, gdzie językiem ojczystym porozumiewał się jedynie tylko z rodzicami. Nie było naturalnie mowy o towarzystwie, odpowiedniem dla niego, nie znał zupełnie chłopców w swoim wieku, nigdy nie miał przyjaciela.

Gdy rok temu przyjechał do Warszawy, życie jego zmieniło się wprawdzie, lecz cios, jaki go dotknął w tym czasie, przez śmierć ojca, wielkie zmiany w położeniu materjalnem, nie pozwalały mu należycie cieszyć się z powrotu do kraju.

Uczył się tylko bardzo gorliwie, by mógł wstąpić do szkoły polskiej, o której marzył, jak o szczęściu najwyższem.

Nie wiedział, co to jest życie koleżeńskie, gdyż nigdy nie miał kolegów, lecz tyle się o niem naczytał w książkach, tak je sobie prześlicznie przedstawiał, iż obecnie, gdy miał je zacząć, zapomniał o wszystkich ciężkich przejściach, zapomniał nawet na chwilę o swem największem ukochaniu, o mateńce najdroższej, i z sercem przepełnionem radością i miłością dla nieznanych mu jeszcze kolegów, — dążył do szkoły.

* * *

Pełno było w wielkiej sali klasy czwartej. Za chwilę miała się zacząć lekcja, chłopcy zajmowali swe miejsca, ładowali książki i zeszyty, niektórzy gorączkowo przepowiadali sobie lekcje.

Michaś przepuścił kilka pierwszych dni roku szkolnego z powodu anginy, że jednak był zdolny, nie obawiał się, aby mu było trudno dopędzić kolegów.

Oszołomiony panującym gwarem, wsunięty w swoją ławkę, siedział z bijącem sercem, nieśmiało rozglądając się wokoło. Na razie wszyscy chłopcy wydali mu się jednakowi; wszędzie te same zgrabne bluzki, tak samo ostrzyżone włosy, pełne policzki i błyszczące oczy.

— Jak ich tu dużo! Jak dużo! I to wszystko m o i koledzy! — powtarzał sobie w duszy chłopiec i dziwnie radosne, miłe uczucie rozpierało mu serce.

Nauczyciel wszedł już do klasy, lekcja się zaczęła, lecz Michaś prawie tego nie zauważył, oglądając swoich towarzyszy.

Bardzo prędko dostrzegł, iż tylko pozornie wszyscy są jednakowi; prócz różnicy w kolorze włosów, barwie oczu, budowie twarzy, widoczna była ogromna różnica charakterów, usposobień, przyzwyczajeń.

Michaś miał bardzo rozwinięty zmysł obserwacyjny i to, co dla innych nie miało znaczenia, dla niego stanowiło wyraźne wskazówki, po których mógł sądzić o wielu rzeczach.

Przebiegał wzrokiem swych kolegów; z przychylnem uczuciem dla wszystkich, lecz i z pewną niecierpliwością szukał między chłopcami przyjaciela. Zdawało mu się, że od pierwszego spojrzenia pozna, a raczej przeczuje tego, z którym zwiąże go uczucie silniejsze nad wiele innych, potężniejsze, niż czas, trwające do śmierci—uczucie przyjaźni.

Nagle serce drgnęło mu niespokojnie; spotkał się z ciemnemi oczami chłopca, o szczupłej, bardzo inteligentnej twarzy, oczami, patrzącemi bystro, rozumnie...

— Czyżby to ten?

— Zdaje mi się, że jest tu między wami nowy kolega? — rozległ się głos nauczyciela i z poza okularów padło na Michasia spojrzenie dobrotliwe, lecz nieco jakby ironiczne.

Michaś zerwał się z miejsca, silnie zarumieniony; czuł na sobie oczy wszystkich i to go wyprowadziło zupełnie z równowagi. Zazwyczaj swobodny, o ruchach wdzięcznych, w tej chwili nie wiedział,



co robić z rękami, przestępował z nogi na nogę, obciągał nerwowo bluzkę na sobie i czuł, że z zaciśniętego gardła nie przeciśnie mu się obecnie żaden dźwięk.

— Jak się nazywasz?

Michaś obracał suchym nagle, jak pieprz, językiem i milczał.

W ławkach rozległ się tłumiony śmiech; ktoś zaszeptał, tak jednak, że chłopiec usłyszał:

— Gapa jakaś! Nie wie, jak się nazywa!

— Mi...cha...ś... Strzę...strzę...bosz!

Z trudem wykrztusił chłopiec, zająkując się na każdej sylabie.

— Jąkała!—mruknął ktoś.

Nauczyciel zbliżył się do Michasia i położył mu dobrotliwie rękę na ramieniu.

— Ah! wiem, wiem! Matka uprzedziła nas, że się nieco spóźnisz. No, siadaj,

chłopcze—i uspokój się. Między nami nic cię złego nie spotka. My tu ze sobą żyjemy w zgodzie, prawda, koledzy?

Chór głosów swobodnych, radosnych zabrzmiał zgodnie jakimś okrzykiem, w którym trudno było rozpoznać pojedyńcze wyrazy. Lecz Michasia nie uspokoił on bynajmniej. Objął go nagle lęk jakiś: oni wszyscy znają się, kochają, może dla niego miejsca już nie będzie?

Lekcja za lekcją mijały; nastąpiła wreszcie przerwa. Gromadki chłopców wybiegły z okrzykami, śmiechem i gwarem na duży dziedziniec szkolny, gdzie się rozpoczęły zaraz gonitwy, gry, różne zabawy.

Michaś, oszołomiony zupełnie, nie wiedział, co z sobą zrobić: zostać, wyjść? Wreszcie idąc za ogólną falą, znalazł się z innymi na dziedzińcu. Zrobiło mu się nagle bardzo smutno; tyle tu chłopców, tak radośnie i wesoło, a on sam, opuszczony...

— Przecież mnie nikt nie zna i ja nikogo nie znam! Na zawarcie zwyczajnej znajomości potrzeba czasu, a cóż dopiero na zaprzyjaźnienie się! — tłómaczył sobie, nie mógł jednak rozpędzić smutku.

Jeden z przebiegających chłopców uderzył go niespodzianie pięścią w plecy i ze śmiechem pobiegł dalej.

Michaś, który właśnie zabierał się do śniadania, wypuścił z ręki bułkę. Paru chłopców roześmiało się wesoło:

— Pilnuj się, panie żarłoku!

Michaś schylił się, by podniesć bułkę, lecz w tej chwili ktoś go popchnął dość silnie, tak że chłopiec przewrócił się, jak długi.

Chłopcy otoczyli leżącego, śmiejąc sie i dowcipkując.

(D. c. n.)

Drobiazgi.

Niebieski czy czerwony? Pewien mandaryn chiński chcąc okazać swoją wdzięczność wysokiemu urzędnikowi, pragnął mu dać w upominku nader cenny pierścień, lecz nie wiedział, w jaki sposób mu go ofiarować. Wreszcie umyślił złożyć mu wizytę, każąc nieść nad swoją głową, podług chińskiego zwyczaju, olbrzymi parasol, który był świetnie czerwonego koloru.

— Cóż za piękny czerwony parasol widzę u pana! — rzekł minister po wymianie wzajemnych grzeczności.

— Zapewne pan minister chciał powiedzieć: niebieski.

— Ależ wcale nie! Przecież jest jaknajczerwieńszy!

— Przepraszam, że się ośmielę zaprzeczyć — jest niebieski.

— Czerwony, jak mak polny!

— Raczej jak bławatek, panie ministrze!

— Któryż z nas źle widzi? — rzekł drwiąco dostojnik.

— Ja widzę wybornie — i stawiam w zakład ten pierścień z brylantem ocenionym na pół miljona taelów, iż tak jest, jak mówię — niechże nas rozsądzi kto trzeci!

Wybrany sędzia musiał przyznać ministrowi słuszność a mandaryn chytrze uśmiechnięty, rzekł:

— Musiałem się nie dopatrzeć; proszę przyjąć ten pierścień, jako wygraną!

Nie odkładaj do jutra tego, co możesz zrobić dzisiaj!

KRONICZKA.

△ Prusacy zaczynają wycofywać się z wywłaszczenia. Tak np. zrzekli się już zamiaru wywłaszczenia Lipienek.

△ P. Taczanowski w Poznańskiem olbrzymie swe dobra sprzedał Prusakom.

△ Na czas świąt przycichły działania wojenne. Państwa bałkańskie, ciągle zwycięzkie, zbliżywszy się prawie do bram Konstantynopola, rozpoczęły rokowania pokojowe. Przedstawiciele mocarstw wojujących zebrali się na konferencję w Londynie. Narady trwały dość długo, aż wreszcie rozbiły się o opór Turcji, która nie chce ustąpić Adrjanopola. Pozostaje jeszcze nadzieja, że mocarstwa europejskie, którym zależy na zlokalizowaniu wojny i niedopuszczeniu do tego, ażeby objęła całą Europę, nie dopuszczą do tego.

△ Na naradzie ambasadorów państw europejskich w Londynie, uchwalono udzielić autonomję Albanji, pod opieką mocarstw i handlowy port na Adrjatyku dla Serbji.

△ W Delhi, w Indjach, dobijający się niezależności Indusi, rzucili bombę na lorda Hardinga, wicekróla, raniąc go dość ciężko.

△ W Wiedniu zmarł w 85 roku życia wybitny polityk i pracownik na niwie społecznej i narodowej, ks. Jerzy Czartoryski.

GAWĘDKA LISTOWNA.

A. S..e z Kalisza. Łamigłówka jest błędnie ułożoną.

Płomyk z Bierwieńciszek błędnie ułożył swoją łamigłówkę.

Róży bez kolców łamigłówkę geograficzną umieszczę. Pod wspomnianym pseudonimem pisywał chłopiec.

Niny K. łamigłówka jest dla czytelników «Naszego Świata» zbyt łatwą i nie przedstawia najmniejszej trudności w odgadnięciu, nie może więc być drukowaną.

A. Bar. jeśli posiada duży zapas cierpliwości, może łamigłówkę swoją ujrzeć w druku, lecz nastąpi to nieprędko.

Irence M. z ul. Kopernika. Prenumeratorzy «Naszego Świata», jak to było kilkakrotnie ogłoszone, mogą nabywać roczniki jego z lat poprzednich za połowę ceny, to jest za rb. 1 k 25 bez dodatków. «Więzień na Marsie» drukowanym był w roku zeszłym. Szkoda to wielka, że Irenka z powodu słabego zdrowia, nie może regularnie uczęszczać na lekcje, gdyż nauka w domu, nie może zastąpić wykładów na pensji. Łamigłówkę przyjmuję, lecz z tem samem zastrzeżeniem, co w poprzedniej odpowiedzi.

Borucie. Nic dziwnego, iż łamigłówka dotąd nie była drukowaną, gdyż posiadamy ich zapas ogromny. Staramy się o rozmaitość w doborze zadań, nic więc dziwnego, że trafić się może czasami łamigłówka muzyczna, która dla czytelników, uprawiających muzykę, nie była zapewne zbyt trudną. Odpowiedzi stanowczej na pytanie, co do roczników «Naszego Świata» dać nie możemy, gdyż to jest zależnem od ilości zażądań. Obecnie są jeszcze do nabycia; dla prenumeratorów za połowę ceny, to jest rocznik rub. 1 kop. 25 bez dodatków. Zadanie umieszczę.

Halce z Tatr. Pseudonim jest dobry. Co zaś do wierszyków, to ostatniemu możnaby dać tytuł «Głos dzwonu», lecz do druku żaden z nich się nie nadaje. Niech to jednak Halki nie zniechęca: trzeba pamiętać, że wszystko musi po sobie następować. Jak z klasy pierwszej nie można wprost przejść do czwartej, tak i dobrych wierszy pisać nie można bez odpowiedniego przygotowania przez zdobycie wiedzy, oraz studjowania dzieł naszych poetów, dla poznania sposobu władania naszą dźwięczną i bogatą mową. Jeśli przytem zdolności odpowiedzą chęciom — wiersze będą wtedy dobre. Do pracy więc, moja nowa siostrzeniczko! Życzenia wytrwałości w niej załączam.

Białemu Orlikowi. Zagadka nie jest wcale dowcipną ani zajmującą i umieszczoną być nie może.

Stefci Kr. Łamigłówka jest przysłaną bez rozwiązania, nie może więc być drukowaną.

„O własnych siłach“.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Oliviera P.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 17 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko współczesnego powieściopisarza polskiego.

Sylaby: zan, na, ro, in, u, la, wa, u, ka, nan, zi, bar, war, ty, kin, e, ge, brja, ro, ca, i, sza, gła, gród, ka, ta, es, te, pa, e, cyz, lo, he, njusz, ku, ro, nar, kal, le, dje, in, yan, stów, si, ro, ke, ki, sa, ni.

Znaczenie wyrazów:

1. Imię żeńskie.
2. Imię męzkie.
3. Miasto w Chinach.
4. Miasto w Rosji.
5. Nazwa Amerykanów.
6. Południowa część Włoch.
7. Miasto na półwyspie Bałkańskim.
8. Południowy półwysep Azji.
9. Część świata.
10. Kwiat.
11. Miasto w Indjach.
12. Samogłoska.
13. Nauka o pięknie.
14. Miasto główne w Król. Polskiem.
15. Przyrząd do szycia.
16. Inaczej Konstantynopol.
17. Wyspa w Afryce.

SZARADA

ułożona przez Zebcię G.

—o—

Wspak *drugie* szukajcie na początku świata,
A wnet odgadniecie obłudnego brata.
Wszystek w pocie czoła na plony pracuje,
Oraz zwykle *pierwszą* stale zamieszkuje.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Halinę A. z Petersburga.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 10 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry ua dół, utworzą nazwę nauki.

Sylaby: strja, jon, a, ta, usz, e, a, kar, a, mi, go, lar, ust, nał, ka, nioł, de, dy, ry, de, ta, mi, łość, mja, izm, y.

Znaczenie wyrazów:

1. Liczba.
2. Zakład naukowy.
3. Dawny pieniądz.
4. Wada.
5. Cnota.
6. Dobry duch.
7. Imię męzkie.
8. Samogłoska.
9. Godność duchowna.
10. Państwo w Europie.

Wszyscy prenumeratorzy otrzymują co miesiąc książkę bez żadnej dopłaty.

TREŚĆ NUMERU:

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie. Ordynacka 3